

MARIA
PESZEK
NAKURWIAM
ZEN

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Maria Peszek

THIS EDITION © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Ta książka może zranić twoje uczucia.

Jeśli nie chcesz, nie czytaj.

– Chyba wiem, co by to miało być, ale nie wiem, jak do tego dojść. Chcesz, żeby ci o tym mówić?

- Bardzo.

– Jednak chyba nie wiem. Czy to, co mówię, jest jasne?

- Absolutnie.

• • •

- Autorzy, którzy mi proponowali napisanie książki o mnie, wywiady rzeki i tak dalej, tak naprawdę się wożą na osobie, z którą rozmawiają, i nie mają nic do zaproponowania, i w istocie nie rozumieją dziesiątków kontekstów, nie tyle mojej osobowości, bo nie uważam, że ona jest szczególnie interesująca, ile tego, co naprawdę chcę powiedzieć. To, co się ukazuje, to barachło. To są właściwie materiały z kolorowych gazet. Obrzydliwe. Poniżające. Nie chcę tego. Mnie nie interesuje przechodzenie do historii, która jest dla mnie przedmiotem manipulacji wyłącznej. Zajrzenie w głąb człowieka, w tym wypadku mnie, jest ciekawe. W takim zwierciadle, które ty mi podstawisz.

• • •



Święta były wspaniałe. I straszne. Jak zawsze u nas. Ale tym razem jeszcze straszniejsze. Dwudziestego szóstego grudnia tata miał zawał i prawie umarł. Rano zrobił się całkiem szary i w samych majtkach położył się przy kominku. Upierał się, że jedziemy na spacer do lasu i że potrzebuje powietrza. Zamiast do lasu pojechaliśmy do szpitala. Wszyscy mieli kaca, tylko ja i tato nie. Tata, bo już wieczorem źle się czuł, a ja nie wiem dlaczego. Prowadziłam samochód przez puste miasto, aż dojechaliśmy do szpitala, gdzie wcale nie było pusto. W święta jest najwięcej zawałów, za dużo alkoholu, miłości i żalu. Serca nie nadążają. Serce taty też się zmęczyło. Ale odratowali go i z kawałkiem metalu w aorcie wypuścili do domu w sylwestra.

• • •

– Dobrze się czujesz? Nie chcesz wody?

• No co ty.

– Przecież zawał miałeś pięć dni temu.

• No i co?

– Prawie umarłeś.

• ...

– Ale powiesz mi, jak będziesz się źle czuł?

• Powiem.

Z A K R Ę T

– Sytuacja jest taka, że ja, Maria, znajduję siebie jako człowieka, ale też jako artystę, w dupie i stwierdzam, że to nie jest przyjemne miejsce. Nie jest tak, że to całkiem nowe dla mnie miejsce, że ja tu nigdy wcześniej nie byłam. Jasne, że byłam. Ale tym razem skala jest inna. Zakręt totalny, nie mogę oddychać. A jak nie mogę oddychać, to nie zaśpiewam, a jednak bym chciała.

Więc przychodzę do ciebie. Może mi powiesz, czemu to wszystko, o czym tyle razy gadaliśmy, nie działa? Może trzeba było, jak ci kiedyś Wiesiek Ochał, elektryk, powiedział – wychować córkę na kurwę, a syna na alfonsa, a nie jakieś ideały. Bo to nie działa, tato. Przychodzę do ciebie, bo wydajesz się szczęśliwy. Chciałabym się dowiedzieć, jak to robisz.

- Ciekawe pytanie. Ono mi każe zbadać ten stan, który nazywasz szczęściem.

– Albo jasnością.

- Albo nieodczuwaniem frustracji. Rzeczywiście mam poczucie spełnienia. Mogę umrzeć bez żalu. Mam to od dość dawna. Gdybym nagle umarł, na przykład te pięć dni temu, to miałbym poczucie, że mnie to nie zaskakuje. Że odchodzę w poczuciu nienarobienia jakiegoś bałaganu w życiu, nienarobienia zasadniczych krzywd ludziom i poczuciu wartości mojego życia, czymkolwiek ono jest.

Na pewno w wymiarze czasowym życie nie jest w porządku; że żyjemy te kilkadziesiąt lat i to nam musi wystarczyć. Ten proces od dzieciństwa, młodości, wieku średniego po powolne zbliżanie się do starości – właściwie ona już przyszła – tak zawsze mi się wydawało i zawsze to mówiłem, że się nie udały te proporcje. Poniżający jest ten stan agonii. Że to, na co całe życie pracowaliśmy, ten ogromny potencjał nadziei, planów, obraca się w jakiś długo trwający koniec, niegodny właściwie niczego. I nawet to ulega teraz jakiejś spokojnej rewizji.

– Ale zdarzały ci się sytuacje, kiedy wszystko, w co wierzysz, przestawało nagle mieć jakiegokolwiek znaczenie?

• Wbrew wszystkim opiniom, jakie zbieram o sobie, jestem człowiekiem szalenie optymistycznym. To znaczy emocjonalnym i w gruncie rzeczy bardzo niedojrzałym. Na przykład kompletnie mnie nie uczą porażki czy zawody w życiu, tylko ciągle mam głupią nadzieję i ostatecznie wierę w człowieka, który jest wewnątrz mnie jakimś pojęciem ideału.

– Ale nie odpowiadasz mi na proste pytanie.

• To znaczy?

– Czy zdarzały ci się momenty, kiedy miałeś wrażenie, że to, w co wierzysz, nie działa. Kompas się zepsuł i co wtedy?

• Zawsze, kiedy o czymś takim myślę, przychodzi mi do głowy okres w moim życiu, kiedy jeszcze byłem młodym aktorem i Kazimierz Dejmek zaprosił mnie do Łodzi.

– Czyli „okres łódzki”.

- „Okres łódzki”. Miasto dla mnie nieakceptowalne pod każdym względem, gdzie z już, że tak powiem, istniejącej prosperity zawodowej jako młodego aktora we Wrocławiu – wspaniałego miejsca, cudownych ludzi – znalazłem się, jak to mówisz, w dupie. I czułem się oszukany, ponieważ ten człowiek mnie zaprosił tam, do siebie, i cztery lata kazał czekać. Nie wiem na co, na rolę, na pracę? I ja nie byłem w stanie tego zrozumieć. Byłem szalenie rozgoryczony, ale jeśli mam ci odpowiedzieć jakoś prosto...

– Tak by było najlepiej.

- Trwałem w tej sytuacji, nie potrafiąc jej zrozumieć. I to jest paradoksalne, ale nie miałem do niego żalu. Dziś mogę powiedzieć, że mógłbym mieć żal, że on mi tego nie wytłumaczył, nie powiedział wprost. Może powinien był to zrobić.

– A co sprawiło, że przetrwałeś? Bo dodatkowo przecież życie było wtedy straszne, sytuacja polityczna koszmarna. Mrok, komuna, wszystko było...

- ...no strasznym szambem! To był schyłkowy Gierek i tak dalej. Ja wtedy wpadłem w alkohol, w bardzo złe towarzystwo...

– Ale jakie towarzystwo?

- No koleżków takich.

– Ale to byli koledzy aktorzy?

- Nie, ale ze środowiska. Ludzie obrotni, agenci na przykład, którzy wykorzystywali moją słabość do rozrzutności, że stawiałem drinki, że mogłem się okazać kimś, kto ich akceptuje bardziej niż

ich własne środowisko. A ja potrzebowałem normalnego wzmocnienia ludzkiego, akceptacji.

To był klasyczny zakręt, jedyny zresztą tej skali w moim życiu, kiedy nagle wiele rzeczy zaczęło się wymykać. Przestałem bywać w domu, u osoby, która mogła być dla mnie przystanią, czyli Teresy, a zacząłem korzystać z uludy tych rozmów...

– Dyskusji.

- Przede wszystkim z alkoholu. Wracalem o świcie, matka była kompletnie rozbita. Pierwszy raz wylądowałem wtedy w izbie wytrzeźwień, co było dość trudnym przeżyciem. Wyciągnęła mnie z tego Karola, czyli moja matka, która akurat była w Łodzi. Przyjechała do nas w odwiedziny i zrobiła tam po prostu porządek, walnęła w stół i tak dalej...

– W domu czy w izbie wytrzeźwień?

- W izbie wytrzeźwień. Ale to mi w ogóle nie pomogło w zrewidowaniu jakoś tych rzeczy. Naszemu małżeństwu groziło totalne rozwalenie, Teresa była na skraju wyczerpania nerwowego, a ja tego nie rejestrowałem, byłem w ciemnym tunelu. To była otchłań, gęsta mgła.

Robiłem oczywiście rzeczy, które niby powinien robić mężczyzna, który zawsze uważał, że musi dać domowi, a więc żonie, rodzinie i dzieciom, schronienie ekonomiczne. Więc brałem nędzne chałtury, na przykład grałem po przedszkolach na bębenku dla dzieci na nocnikach o siódmej rano. Program za bezcen. Po szkołach jeździłem z Norwidem, z *Pożegnaniem z Marią* po domach kultury, świetlicach...

– Takie zapewnienie ekonomicznego minimum?

- Raczej iluzja, że coś robię. Podejrzewam, że głównym motywem było, żeby pracować, żeby nie zwariować. Jak człowiek zapada się w mrok, to próbuje się wydostać. Za wszelką cenę. Czasem po omacku.

– I to był twój zakręt?

- Z całą pewnością.

– I co pozwoliło ci przetrwać?

- Nie ma jakiegoś konkretnego wydarzenia, które to spowodowało.

– Normalny człowiek powiedziałby: dzieci, żona. Albo na przykład Bóg.

- Bóg na pewno nie. On już wtedy dawno mnie opuścił, a ja jego. Natomiast z całą pewnością osobą stabilizującą sytuację była prosta kobieta ze wsi, twoja niania, babcia Janeczka z Węgrzynowic podłódzkich. Miała zdroworozsądkowe podejście i interweniowała w ten swój prosty, otrzeźwiający sposób, z jakąś pierwotną mądrością. Ale też wytrwałość Teresy i jakaś jej nadludzka siła. Gdyby tego zabrakło, myślę, że to by się skończyło źle. Mógłbym się stoczyć w prawdziwe otchłanie. Zawsze byłem ekstremalny i w życiu poszukiwałem niebezpiecznych podniet. Potrafiłem wchodzić w najgorsze dzielnice, pociągali mnie niewłaściwi ludzie.

– Chcesz wody?

- Poproszę. Ale będę mówił.

– Ja słucham.

- Czasami mnie z tego ratowali koledzy, na przykład Mikołaj Grabowski, który śledził mnie, bo był też ciekawy tych moich dziwnych penetracji, ale też najzwyczajniej się o mnie bał. Zawsze mną kierowały aktualne emocjonalne uwarunkowania, w których byłem, ale przede wszystkim totalna zachłanność życia i drugiego człowieka.

– Absolutnie nie jesteś w stanie mi odpowiedzieć, co też jest w sumie odpowiedzią.

- Nie, nie jestem w stanie ci odpowiedzieć. Leciałem w przepaść, ale nie potrafiłem odejść od Dejmka. To było bardzo dziwne, wiesz, jak syndrom szwedzki.

– Chyba sztokholmski?

- Tak, sztokholmski. Idziesz do mordercy, prawda... Morderca idzie do ofiary? Nie.

– Chodzi ci o uzależnienie ofiary od kata i odwrotnie, tak?

- Uzależnienie od kata, tak. I to począwszy od ciosu, który mi zadał na pierwszym spotkaniu: „Myślałem, że pan jest przystojniejszy”. Nie wiedziałem, czy to były jakieś homoseksualne sugestie i czego oczekiwał. Pamiętam tylko odejście. To było w jakiejś skrajnej już rozpaczy. Ja się na przykład upijałem na trzeciej generalnej, po prostu się przewracałem. Koledzy mnie brali pod zimny prysznic w kostiumie i tak dalej. Oczywiście to wszystko było podyktowane rozpaczą.

- Ale w końcu odszedłeś.

• Dostałem propozycję gościnnego grania w Jaracza, znanym już wtedy teatrze, od Mikołaja Grabowskiego, który był moim kumplem ze studiów. Do trzech głównych ról. To był amok, moja kompletna porażka. On kazał mojej partnerce pokazywać mi gołe cycki, żeby mnie jakoś pobudzić. Ja nie byłem w stanie się wydobyć.

- Z tego dołu?

• Z ciemności. Nie byłem w stanie dotrzeć do podstawowych odruchów aktorskich, emocjonalnych. Wydawało mi się, że jestem totalnie wyniszczony, wypalony, jak stępiony ołówek, który próbuje coś narysować i nie może. Pamiętam ten stan. I kiedy on mi tę propozycję złożył, to zerwałem umowę z Dejmkim.

- Ale przez te cztery lata nie zagrałeś w teatrze nic? Przyjechałeś z Wrocławia, gdzie były fantastyczne główne role, nagrody; przywlokłeś mamę z małą dzieckami w nieznaną i tylko na bębenku po przedszkolach?

• Tak. I wtedy Dejmek mi powiedział: „Pan jest chuj”. Na co ja się odwróciłem i powiedziałem tym samym tonem: „To pan jest chuj”. I wyszedłem.

- I co to spowodowało, ulgę?

• Powiem ci, że nie pamiętam. To jest dziwne, Marysiu, ale jak wyście się urodzili, to też nie spowodowało to we mnie poczucia ojcostwa. Byłem waszym ojcem, ale jakby żadnej zmiany. Ja sobie często wtedy zadawałem pytanie, czy przy całej mojej emocjonalności, uwielbieniu ludzi – bo oni są potwierdzeniem tej krótkiej

Wielka Kateria



chwili... Bo jedno wiem na pewno, że jestem chwilę. To wyniosłem z domu, od dziadków. I to, że jestem na chwilę, zawsze mi przynosiło niezwykłą ulgę i usprawiedliwienie wszystkich niedomogów.

Więc jak on mi powiedział, że jestem chuj, ja się odwróciłem i powiedziałem, że on jest chuj, to nie wiem, czy poczułem ulgę. Ale też ta dygresja, że jestem tylko na chwilę, i to ojcostwo moje... Wiem, że was strasznie kocham, tak samo jak w bardzo szczególny sposób kocham, może podziwiam, nie wiem, no coraz inaczej oczywiście, Teresę. Ale jednocześnie często w życiu zadaję sobie pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości?

- Zmęczyłeś się. Napij się wody i przerwa.

Wiesz, że już przy pierwszym pytaniu uzmysławiam sobie, że nie dostanę żadnych odpowiedzi? Chociaż to jest dla mnie teraz ważne. To znaczy nie dostanę wprost. Może przebieg tej naszej podróży, bo raczej tak widzę to, co nas czeka, uzmysłowi mi pewne rzeczy albo da wytechnienie, ale od ciebie ja go nie dostanę.

Często strasznie do ciebie tęsknię i chcę się spotkać. Przyjeżdżam po jakiś rodzaj schronienia, ulgi. Po wsparcie albo podpowiedź, po to, czego brakuje, kiedy się jest kimś, kto ciągle szuka i kto dodatkowo dokonał w życiu wyborów nieszczególnie bezpiecznych. To znaczy takich, które nie mają za bardzo wzorców i które są społecznie niezbyt akceptowane czy rozumiane. W związku z tym funkcjonują poza, a w najlepszym przypadku obok tej wspólnoty, której zresztą nigdy nie chciałam być częścią. Ale to obok niekoniecznie jest przyjemne i czasem jest tam najnormalniej w świecie pusto.

I często cieszę się na to nasze spotkanie, tak na nie bardzo czekam, a potem ono boli. I to się tyle razy powtarza, że w sumie nie wiem, na co ja tak ciągle czekam. Przecież nigdy nie dostaję tego, po co przyjeżdżam. Najczęściej frustracja i to moje rozedrganie

tylko się powiększają. Przyjeżdżam tutaj, żeby się poczuć bezpiecznie, bo po to się przyjeżdża do domu. A często to wy z mamą wierzacie jak bachory rozbastwione, które mają swoje potrzeby i trzeba się nimi natychmiast zająć. Przyjeżdżam obolała i myślę, że się tu skryję. Teraz na przykład. I pierwsze pytanie, które zadaję, prowokuje szereg opowieści, które uzmysławiają mi, że moje wrażenie twojego szczęścia jest złudne albo że ono polega na czymś innym.

Każdy normalny człowiek przez chwilę by pomyślał o tym, że może tę ciemność przetrwałes też dzięki rodzinie, dzieciom. Że to była naturalna kotwica, żeby się całkowicie nie zgubić. A to nie jest odpowiedź, która ci przychodzi pierwsza do głowy. Więc chyba ta rozmowa nie będzie taka znowu przyjemna.

- No właśnie. W pewnym sensie dajesz odpowiedź także mnie, krążąc wokół pytania, które często sam sobie zadaję: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości? Czasami mi się wydaje, że nie.

– To jest kokieterijne pytanie?

- Nie. Jest jak najbardziej serio. Czasami się zachowuję tak egocentrycznie, że wtedy odpowiedź jest prosta: nie jesteś zdolny do miłości. Oczywiście zawsze ta odpowiedź jest post factum, kiedy się kogoś porani, kiedy się przekroczy granice. A ja naprawdę nie wiem, czy jestem zdolny do miłości. Na przykład przygoda z mamą: na początku jakaś niesamowita namiętność, która potem się zmienia w coś zupełnie innego. Na ogół ludzie tego nie wytrzymują, frustrują się i rozchodzą. Myśmy przetrwali, znaleźliśmy inne wartości, nawet nie w dzieciach. W tym punkcie, wydaje mi się, obydwójce byliśmy szalenie odpowiedzialni. I wtedy w Łodzi nigdy nie padł ze strony mamy argument dzieci, rozvodu. Nigdy o tym nie mówiła, nie groziła. Nawet kiedy wracałem nad ranem.

– Nawet jak była w dziewiątym miesiącu ciąży, a ty ją ciągałeś po imprezach ze spuchniętymi nogami i mówiłeś: „Bądź Europejką”?

• Przecież my nie jesteśmy idealni, wręcz przeciwnie. Ale nie mówmy teraz o paradoksie małżeństwa. Próbując zreasumować okres łódzki, myślę, że gdyby nie „pan jest chuj”, tobym nie odszedł. No i gdyby nie Mikołaj Grabowski, który był niesamowicie wytrwały i nie przejmował się początkowo absolutnie przeciętnym rezultatem. Tylko wierzył we mnie.

A potem wydobyłem się. Trafiłem, właśnie za sprawą Mikołaja, na Gonzala, który wszystko uwolnił. Jakbym nagle wyskoczył z wrzątku na wolność i leciał. I naraz wszystko się stało na odwrót. W ciągu dosłownie miesiąca, paru chwil. I gdyby nie ten zwrot, to prawdopodobnie ja bym się pogrążył w ciemny świat totalnie przegranego człowieka.

Wiem, że za dużo mówię, ale mówiąc pewne rzeczy, sam próbuję teraz z perspektywy czasu to zrozumieć.

...

Z Mikołajem Grabowskim jest taka historia. Miałam pięć lat i była impreza u nas na Traktorowej. Siedział na kanapie, a ja wskoczyłam mu psitką na twarz i przykryłam głowę spódniczką. Majtek nie nosiłam już wtedy. Potem przeturlałam się na poduchy i z nogami opartymi o ścianę, ssąc dwa palce i gmerając pod spódniczką, śpiewałam, patrząc mu prosto w oczy: „Lubię swoją pracę”. Fajny był z Mikołaja wujek po prostu. Mam z nim jeszcze parę innych wspomnień, jak reżyserował mnie w teatrze, kiedy miałam jedenaście lat, albo jak miał romans z tatą, chociaż to nieprawda jest. Chyba.

...

– Pamiętasz, jak mnie zrobiłeś? Jeżeli możesz mi opowiedzieć trochę o okolicznościach, byłoby super.

- Przecież nie wie się kiedy. Że o! Planujemy teraz zrobić dziecko i najlepiej, żeby to była córka.

– [macając pod blatem stołu] Przepraszam, ale czy tu są baby jakiejś? Znaczą gile z nosa, suche? Tu pod stołem?

- Nie. Moje na pewno nie.

– Jak nie? Przeczuwam, że to baby zasuszone.

- Nie, to nie są baby, Marysiu. To są drzazgi z drzewa.

– Dobra, przepraszam. Ale wiesz, wydawało mi się, że była jakaś mityczna opowieść o moim poczęciu.

- Nieee. Tak samo nie wiem, jak zrobiłem Błażeja. To znaczy nie powiem ci: to była ta noc. Mimo że mama podobno wiedziała, bo doradzała znajomym, jaki seks się stosuje, żeby mieć córkę, a jaki, żeby syna. To są bajki oczywiście, ale wtedy były inne technologie. W ogóle inny był świat. Ale na pewno był to okres bardzo, powiedziałbym, burzliwego seksu.

– Ale to była zima czy lato?

- Wydaje mi się... No, łatwo to obliczyć, Marysiu, ponieważ jeżeli urodziłaś się we wrześniu, no to dziewięć miesięcy do tyłu... To jest sierpień, lipiec...

– Styczeń. To była noc sylwestrowa i była skrzynka szampana.

• Mieszasz dwie opowieści. To znaczy była skrzynka szampana, a dokładnie pięć butelek szampana, które mama wypła w sylwestra. To był taki pijany sylwester, bardzo pijany. W Andrychowie w szkole numer cztery. A po sylwestrze okazało się bardzo rychło, że mama jest w ciąży. No, troszkę się zdenerwowała, bo pięć butelek szampana, a z tobą w ciąży.

W tymże Andrychowie moja siostra, a twoja ciotka, Marlena, była nauczycielką, i bardzo jej zależało na pani dyrektorce. I na tym sylwestrze były też dwie moje kuzynki. Nieżyjąca już Jadźka Bogaczowa i Marysia Zachara, świeżo upieczona wdowa, w której się podkochiwałem i która mnie zresztą jako mężczyznę odrzuciła. Pamiętam, jak ją całowałem w piwnicy, w bloku gdzieś. No ale nie traktowała mnie poważnie, bo była ode mnie starsza.

W każdym razie to był bardzo pijany sylwester i myśmy się szybko upili. Mama wypła pięć butelek szampana, bo piła tylko szampana, więc pamiętała. I moje kuzynki też się upiły. Była taka sąsiadka, Kiznerowa, straszna plotkara, która po prostu co chwila: „Panie Peszek, kuzynka rzyga”. No więc leciałem do damskiego sracza, gdzie Jadzia Bogaczowa, kapitanowa lotnictwa, rozumiesz, od ściany do ściany. Kobiety, wiesz, zarzygane przez nią. To była jakaś masakra.

Wróciłem. Napiłem się parę wódek i znowu: „Panie Peszek, kuzynka rzyga”, Kiznerowa mówi. No to lecę, ale już nie była to Jadźka, tylko Marysia, która się zaszyla w płaszczach, w takiej kupie płaszczy w garderobie, i tam rzygała. Po czym wróciłem, napiłem się, no to: „Siostra jest niedysponowana”. Marlenka gdzieś tam wymiotowała, ale postanowiliśmy ją przenieść do gabinetu pani dyrektor. No i ze szwagrem czy z bratem, nie wiem, ciągniemy ją do fikusa, bo czujemy, że ona będzie womitować. A tu wchodzi cała dyrekcja z panią dyrektor: „O! Jest Marlenka”, i rozumiesz, dramat,

bo ona kompletnie nieprzytomna, ale na szczęście za fikusem. No więc przejęliśmy tam te toasty i tak dalej.

Więc nie pamiętam samej nocy, jak cię zrobiłem, natomiast na pewno uwielbialiśmy seks. Był super. Był czymś wspaniałym, bo mama była ciekawa wszystkiego nowego, co wносиłem, wszystkich nowych propozycji.

– Czyli ty zdobywałeś te umiejętności i pokazywałeś mamie?

• No tak. W każdym razie chcę powiedzieć, że byliśmy, wydaje mi się, bardzo dobrą parą, jeśli idzie o seks. Na początku to w ogóle były jakieś szaleństwa bez opamiętania: dużo, interesująco i szalenie intensywnie. Na pewno więc zrobiliśmy cię w trakcie dynamicznego i fantastycznego, spełnionego seksu, co jest ważne, bo wtedy dzieci są silne i coś innego jakby ten...

– Myślisz, że jeżeli dzieci są płodzone w udanym seksie, to dla nich lepiej?

• Absolutnie w to wierzę, choć się na tym totalnie nie znam.

– Ciekawa hipoteza.

• Jestem przekonany, że wtedy się co innego przekazuje. To jest jakiś...

– Rodzaj euforii?

• Inne zestawienie energii, po prostu. I dla dzieci to ma znaczenie, czy się jest zrobionym w euforii czy z obowiązku. To się może oczywiście, jako amatorskie, laickie, wydać infantylne i nieuzasadnione naukowo, ale ja na to czniam, bo jak się pewnie w naszej

rozmowie nieraz okaże, znam cały szereg uzasadnionych naukowo teorii, które się w ogóle nie sprawdzają w życiu. Więc ja swoje kuję na gorąco. Po swojemu.

Wracając jeszcze, bo ci nie odpowiedziałem. Znaczący nie skomentowałem tego, co powiedziałaś, że w gruncie rzeczy nie jestem w stanie ci odpowiedzieć. Przecież w jakimś sensie jednak wyjeżdżasz od nas wzmocniona, bo od kogoś, komu ufasz, uzyskujesz konkret. Na przykład: „pierdol to” albo „życie jest jedno”, albo „oliwa sprawiedliwa...”.

– Chyba musisz już odpocząć.

- Nie. Chcę powiedzieć tylko, że w ostatecznym rozrachunku zawsze ty musisz to rozegrać ze sobą. Nikt, nawet twój ukochany, nawet twoja najbardziej oddana przyjaciółka, nie potrafi...

– Przecież ja nie mam przyjaciółki.

- Wiem, że nie masz. Ja też nie mam. Nigdy nie miałem przyjaciół i w tej chwili już nawet nie tęsknię.

– Ej, ale za dużo już. Nie możesz się tak eksploatować.

- Nie potrafię inaczej. Ja ci powiem, Marysiu, jak się naprawdę źle czuję.

– Odetchnij.

- Natomiast...

– Odetchnij. Wody się napij.

- Tylko to zdanie chcę skończyć: ostatecznie to ty sama ze sobą w swojej samotności musisz rozstrzygnąć, zdecydować i rozwiązać daną sytuację.

– Sama? Mam teraz poczucie, że sama to ja siebie w jakimś sensie w chuja zrobiłam. Wydawało mi się, że jakoś to jest rzecz święta. I lojalność. Powiedz mi, czy świat się zmienił?

- Nie, tak było zawsze. Zawsze jakoś przegrywała ze śmieciami, tylko że były inne proporcje. I inne priorytety, tak jak na przykład jeszcze do niedawna można było mówić o konkretnych ludziach jako autorytetach...

– Takich wektorach.

- Tak. Ludziach, którzy dają ci nadzieję, że świat nie zwariował. Teraz ich nie ma. Autorytety się pochowały przed barbarzyńcami. One oczywiście dalej istnieją, zmieniają się tylko skale tych autorytetów, ale autorytet zawsze przecież wiąże się z jakością, obojętnie, czy to są czyny czy tylko poglądy. Ja na przykład – to też jest moja cecha, której ty do końca nie ogarniasz w tej chwili, ugodzona w samo serce i zraniona brakiem lojalności właśnie – wierzę w człowieka, bo inaczej życie nie ma po prostu sensu. Rozumiem to jako wzajemne wyławianie się z masy, z tego stada ludzkiego, równie samotnych osobników, które sobie potwierdzają złożoność życia. I się wspierają.

– Albo sensu. Jakiegokolwiek.

- Albo sensu. W tej kałuży, która raz jest ciemniejsza, raz jaśniejsza, poruszamy się po omacku strasznie samotni w tym zagubieniu, w tej mierzwie ludzkiej i... Kurwa! Czekaj, bo chciałem coś ważnego powiedzieć.

– Ale co?

- Mogę pierdnąć?

– Tak.

- [puszcza bąka] Że... yyy...

– Zanotowane.

- W tym sensie wiara w człowieka pozwala mi przetrwać. Mimo że absolutnie przewiduję charakter końca, to jest we mnie nieustanna chęć rozwiązania tej zagadki.

Ja wiem, że jestem wędrowcem, który błądzi, raz ma oczy szerzej otwarte, raz ma totalnie zawiązane, ale nie mogę ustać w tym poznawaniu. Dlatego ten „okres łódzki” i to niezrozumienie, dlaczego tak się stało, to jest trochę to, co ty masz teraz. Podobny ból. I jak mnie pytasz, co mnie wtedy uratowało, to na pewno nie przekonanie, że musi być jakieś rozwiązanie, bo ja wiedziałem, że go nie ma. Uratowała mnie potrzeba zrozumienia. Zagładnięcia za te kulisy, za którymi jest ciemność.

– Czyli aktywność. Bo najgorszą rzeczą, jaką można w takim momencie zrobić, to obrazić się na świat, wczołgać do nory ciemnej i tam kwilić?

- Absolutnie.

– Bo co komu z rozgoryczonego artysty, ze zranionej pieśniarki z dziurą po sercu.

- Nic. Należy trwać przy swoim, nawet mając przekonanie, że można ostatecznie...

– ...przegrać. Gorycz jest najgorsza. I żal.

- Żal niszczy ciebie totalnie.

– Dopóki nie weźmie się całkowitej odpowiedzialności za własne, kurwa, szczęście, to nie można być wolnym. Dlatego mój ateizm jest dla mnie tak ważny. Nie ma Boga, na którego można liczyć i czekać, że cię uratuje.

- Albo usprawiedliwi.

– My ciągle czekamy, że nam jakiś Jezus albo ksiądz, prezes czy rząd coś załatwi i ciągle mamy żal. I wszystko, co jest jeszcze piękne, te resztki piękna w Polsce, są tak chwastami żalu zarośnięte, że ledwo dyszą.

- Mam ten sam pogląd.

– Też cię wkurwiają ludzie, którzy z żalu robią sens życia? Bo u nas cierpienie, najlepiej zbiorowe, jest tożsamością narodową. Polska to wspólnota oparta na ranach, którym nie dajemy się zagoić. Ze strachu, że jak się zagoją, to stracimy siebie? Czym byśmy byli bez tego cierpienia, skoro tylko w nim się jednoczymy? I tylko w nim jesteśmy naprawdę dobrzy.

- Cierpienie tak naprawdę jest potwornie egoistyczne. Rozumiem cierpienie, które ma prawo się pojawić w życiu każdego człowieka, natomiast u nas ono jest przejawem skrajnego egoizmu. Ono zawsze, w sensie egzystencjalnym, jest przejawem egoizmu, ale

w innych kulturach ludzie sobie z cierpieniem radzą jednak inaczej, a przynajmniej dają inne sygnały. Polak, cierpiąc, ma poczucie, że posiadał straszliwą władzę i ta władza go opanowuje. I niszczy wszystko. To się bierze oczywiście z naszej strasznej historii katolicyzmu, który jest najciemniejszą religią na świecie. A w polskim wydaniu to jest w ogóle piekło. I jeżeli szatan istnieje, to jest nim instytucja polskiego Kościoła.

...

Chodziłam się modlić do Bożego Ciała. Pachniało liliami i śmiercią. Czarny Jezus na krzyżu patrzył z góry, czy równo klęczę. Lubiłam ból kolan i litanię do Najświętszej Krwi. Naszą wspólną z Jezusem samotność. Coraz mocniejsze zaciskanie dłoni w „amen”, zaciskanie ud, sine usta i odlot. Nagłe prąd, zdziwienie i słodko. Prawie zemdlałam. A to cud. Pierwszy orgazm. Z Jezusem.

...

– Wiesz, jakie jest moje pierwsze, absolutnie pierwsze wspomnienie z dzieciństwa? Że jesteśmy nad morzem, na plaży; piasek. Mam na sobie biały szlafrok frotowy z kapturem. Za duży, mieszczę się cała w kapturze. Jesteśmy z Błażem sami zostawieni na tej plaży i wy idziecie z mamą pływać. Mama ma taki kostium w kolorowe romby. I odpływacie. I na początku jest super, bo was widzimy, ale później płyniecie dalej i ja mam jakiś totalny telep i się boję. Strasznie. I my z Błażem z tego przerażenia, to znaczy ja przerażona jestem na pewno, jemy wafle, chyba malinowe. Czy coś takiego mogło się w ogóle wydarzyć?

• Tak, tak. To były Górkki Wschodnie i ty byłaś małeńka, miałaś dziewięć miesięcy. Lecieliśmy do Gdańska samolotem, a z lotniska

taksówką, czarną wołgą, pamiętam, do tych Górek Wschodnich. Ja dopiero dziś, po tylu latach, łączę pewien fakt, którego ty nie możesz pamiętać, z tym właśnie. Byłaś ubrana na nagie ciało, żeby cię słońce nie paliło, w biały szlafroczek z amerykańskich zrzutów, po Błażeju zresztą, z kapturem. I były wafle, rzeczywiście, kupowane w geesie, obrzydliwe, z malinowym nadzieniem, różowym.

– Jesteś tego pewien?

• Absolutnie! Były też kawowe, bo ja nie cierpiałem malinowych. Zresztą dzemu truskawkowego też nienawidzę. Były bladoróżowe i ciemne kakaowe. Masakra smakowa, ale uwielbialiśmy to wszyscy w czwórkę. Ty przez cały pobyt miałaś taki zwyczaj – bo Błażej dał się upilnować, uwielbiał skakać na falach ze mną albo z mamą – że z wydmy na czworakach, bo wtedy raczkowałaś, zawsze się kierowałaś w stronę morza i myśmy tego nie rozumieli i patrzyliśmy na ciebie, a ty po prostu szłaś do morza. Jak żółw. I oczywiście w odpowiedniej chwili szedłem, brałem cię na ręce i odnosiłem na wydmy. Posiedziałaś chwilę i znowu szłaś w stronę morza i to było dla nas totalnie niezrozumiałe, mama to potwierdzi.

Teraz rozumiem, że to musiało się brać ze strachu. Że pierwszy był lęk, że myśmy zniknęli. I te twoje pielgrzymki do morza były jakąś atawistyczną próbą ratowania rodziców.

– Myślisz?

• Tak to teraz rozumiem. Niesamowite w ogóle złożenie.

– Chcesz mi powiedzieć, że dobrze pamiętam? To jest bardzo silne wspomnienie, z detalami. Pewnie ten kostium z później mi się nałożył, bo przecież mama miała go paręnaście lat. Wiesz, taki w romby.

- Wiem, w zielono-amarantowo-brązowe romby.

– Z sukienki przerobiony.

- Tak, najpierw to była sukienka, amerykańska.

– Z paczki. Więc kostium chyba później mi się nałożył, ale strach był z wtedy. Bo ja przez całe dzieciństwo, przez bardzo długi czas, bałam się zostawać sama w domu.

- No wiem. Nie odstępowałaś mamy, bo głównie mama była. Ja jeździłem, pracowałem i tak dalej, więc pojawiałem się co jakiś czas w domu. Nawet siku mama musiała iść z tobą na rękę. To było dziwne. Miałaś dwa palce w buzi, które ssiałaś, i często zadawaliśmy sobie pytanie, czy my popełniliśmy jakiś błąd, że ty tak strasznie się boisz.

Mama nosiła cię. Rozumiała to, bo jak wiesz, została sierotą wcześniej. Jej mama umarła, jak ona miała dziewięć lat. I Teresa pamięta z tamtego czasu kota i nieustanne, samotne w wielkim domu w lesie czekania na ojca, do nocy. Siedziała po ciemku na szafie z kotem i czekała.

– Wszystko wiem.

- Jej ojciec był leśniczym i myśliwym. I być może, rozumiejąc tę traumę, choć mdlały jej ręce, nosiła cię, jak robiła grysik czy tam coś, do sracza szła z tobą. Ja też, jak przychodziłem, stale cię nosiłem. Ale ty zawsze byłaś zanurzona w jakimś stanie niecałkowitej obecności. Zobacz swoje zdjęcia z dzieciństwa. Z rzadka jesteś uśmiechnięta, nawet kiedy z Błażejem szalejecie, on uwielbiał cię rozśmieszać, ale w gruncie rzeczy byłaś dość... Nie chcę powiedzieć smutnym, tylko refleksyjnym i oddalonym dzieckiem. Byłaś w jakimś swoim świecie.





– Szczerze mówiąc, to z dzieciństwa pamiętam głównie strach. A przecież wydaje mi się, że teraz jestem jednak jasną osobą, a na pewno taką, która potrafi się cieszyć i wygłupiać. Ale gdy myślę o dzieciństwie, to... No, jest tam ciemno.

- Babcia Janeczka powiedziała kiedyś: „Panie, to dziecko jest mundrzyjsze od człowieka!”. Oczywiście każdy rodzic będzie mówił o wyjątkowości swojego dziecka, ale miałaś dziwne, abstrakcyjne złożenia, nieprawdopodobnie trafne. Błazej na przykład był długo bałaganem. Natomiast ty byłaś niezwykle konkretna. Dość szybko zaczęłaś mówić i charakter twoich reakcji był dorosły, w gruncie rzeczy dojrzały. Stąd chyba ta opinia twojej niani.

• • •

- Miałem teraz taką chwilę kryzysu i przypomniałem sobie, że kiedyś nosiłem holtera. Czyli serce, lata temu, już coś zgłaszało. I z całego zapisu, a wydarzyło się w tej dobie, w której był monitoring, bardzo dużo rzeczy, które powinny znaleźć odzwierciedlenie... Grałem tego dnia, z tym holterem, Fiora w *Operetce*, bardzo eksploatująca rola – nic. Najsilniejszym zapisem była nocna rozmowa z Błazejem, która wykazywała przekroczenie normy. Lekarz mnie pytał: „Co się o tej godzinie stało?”. Ja powiedziałem: „Rozmowa z synem”. Ona oczywiście była ekstremalna, trudna. Już nie pamiętam, czego dotyczyła.

I przez moment teraz moja myśl odleciała, kiedy ciągle pytasz: „Dobrze się czujesz?”. W jakimś stopniu mnie to teraz po prostu angażuje, a jestem w sytuacji, w której nie powinienem się tak eksploatować emocjonalnie, ale nie ma przecież nieemocjonalnych sytuacji. I teraz pomyślałem sobie, że może rzeczywiście masz rację, że trzeba skończyć. Chociaż czuję, że właśnie wpłynąłem na właściwe tory.

- Tylko te ciągłe dygresje. Lubię formy skupione, nie przepadam za rozwlekłymi. Ale to jest bardzo charakterystyczna twoja cecha. Jesteś gadułą.

- Ja myślę o tym trochę inaczej. Wydaje mi się, że konkretne odpowiedzi są ograniczone. My jesteśmy przecież w nieustannym ruchu.

- My, ludzie?

- My, ludzie, nasze umysły. Szamoczemy się i ciągle czegoś szukamy. Na przykład ja trwam w optymizmie, choć jak wiesz, potrafię być skrajnie cyniczny, bezwzględny i okrutny.

- Nie! To jest już wnerwiające. To twoje przeświadczenie...

- Że co?

- Że „potrafisz być skrajnie cyniczny”. Nie potrafisz. Albo że jesteś „rekinem”. Musisz sobie uzmysłować, że to nieprawda. Ty nie masz w sobie grama cynizmu.

- No, może cynizm nie, ale rekin tak. Wiesz, że w sytuacji, w której cokolwiek by wam się stało...

- To jest wilczyca, która broni stada. Rekin to jest ktoś, kto morduje dla smaku krwi.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, że dam sobie w życiu radę, bo jestem rekinem.

- A ty się tego uczepliłeś, bo to jest atrakcyjne.

- Tak. Fuj...

– Co jest?

- Puściłem bąka.

– Znowu?

- Bardzo przykrego. Przepraszam. Nie chciałem głośno tego robić i to jest okropne. Fuj!

• • •

- To moje pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości...?

– Trudno mi to zrozumieć, ale...

- Czasami mam wrażenie, zwłaszcza w relacjach z wami... Znaczący na pewno u podstaw tego pytania leży tak naprawdę nierozwiązywalność zagadnienia jako takiego. Nie ma w życiu zjawisk, problemów, które można jednoznacznie, definitywnie i ostatecznie rozwiązać.

– Ja nie wiem, czy to się uda. Ta książka.

- To będzie trudne. Dla ciebie. Musisz wykazać pewnie cierpliwość...

– Wykazuję.

- Bo ja jestem dość nieuchwytny w tym względzie.

– No raczej.

• Bo sam nie mam, że tak powiem, wyrazistych odpowiedzi. Ale też może dlatego trwam w ciągłej aktywności i jest we mnie ciekawość. Tak jak ze *Scenariuszem...** Pytają mnie, czy mi się nie nudzi, jak to gram czterdzieści lat. Ja zawsze odpowiadam, że mi się totalnie nie nudzi, bo ciągle wierzę w to, co mówię. I przed wejściem na scenę robię jedną jedyną rzecz – zadaję sobie pytanie: czy jeszcze raz chcę to głośno powiedzieć? To, w co wierzę. Ale czy ja sam siebie nie kokietuję? Czy rzeczywiście tak jest?

– Ja proponuję skończyć już dzisiaj.

• Mam wrażenie, że ci nic nie powiedziałem.

– Bardzo możliwe.

• Próbuję zrozumieć, co mówię. Czym to naprawdę jest. I stąd te ciągłe dygresje. To po prostu takie lustra, w których się coś odbija. A może to tylko złudzenie? Dla mnie jakimś najważniejszym obrazem, który się z dzisiaj wyłania, jest plaża.

– Może to właśnie tak trzeba robić?

• Ja jestem wyuczony na partyturach Schaeffera, w których są elementy totalnie nieprzystające. Co będę gadał, pokażę ci. Mam tu akurat tę partyturę, którą pewnie znasz, dziesiątki razy to ćwiczyłem. Nie pamiętam, czy z wami też?

* Kiedy mówimy *Scenariusz*, mamy na myśli *Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego* Bogusława Schaeffera.

– Z nami też.

- Po prostu jest kilkanaście elementów i każdy z nich zawiera inne akcje, zupełnie inny świat. I konstruowanie całości polega nie na tym, że ja wiem, co będzie, że jeden element wynika z drugiego. Chuj tam! One są niezależne. Żadnych logicznych powiązań! Emocjonalny przepływ asocjacji, po prostu. Dopiero fakt zestawienia poszczególnych elementów składa się widzowi w całość.

– Wszystko to wiem.

- I być może jakaś dziwna opowieść, dygresja, dużo drobnych tutaj wokół jest po to, żeby nagle wyskoczyło w innym miejscu coś.

– Masz rację. W muzyce też najlepsze rzeczy powstają, kiedy składasz przypadkowe części.

- No właśnie!

– Ale jestem niecierpliwa i podejrzewam, że pojawią się momenty przeciążeń, znużenia.

- Przede wszystkim ja tak dużo gadam. To będzie dla ciebie potworna praca.

– Chyba mi znowu Edek będzie musiał pomóc. Jak zwykle.

• • •

- Jak mówiłaś o tej plaży, to ona mi stanęła przed oczami. Pamiętam Teresę, jej ciało, zapach przede wszystkim. Ona zawsze pachniała mlekiem, jej skóra, usta. No nie ona jedna, bo...

- Ale ludzkim?

- Tak, takim mlekiem.

- Ludzkim? Czy w ogóle mlekiem? W sensie od krowy?

- Tak, tak. Ale też od razu, wiesz, przypomniał mi się lot tym samolotem, jak Błażej krzyczał: „O! Lodziki, lodziki!”, jak chmury były. Bo on już wtedy dużo gadał, po czym natychmiast rzygał do torby. A ja z tobą chodziłem i potem stewardesa wzięła cię do kokpitu, jak Błażej rzygał. To był mały samolocik i pamiętam, szczęśliwa była ta stewardesa. I ty taka nieobecna w tym samolocie. To pozornie nie ma żadnego związku, a jednak ta twoja samotność, ten smutek, nieobecność, to się teraz wyjaśnia. Ty nie płakałaś, nie śmiałaś się, byłaś po prostu w swoim świecie, strasznie silnie zatrześnięta. W przeciwieństwie do Błażeja, który był zawsze na zewnątrz. A teraz wydaje się, że jest dokładnie...

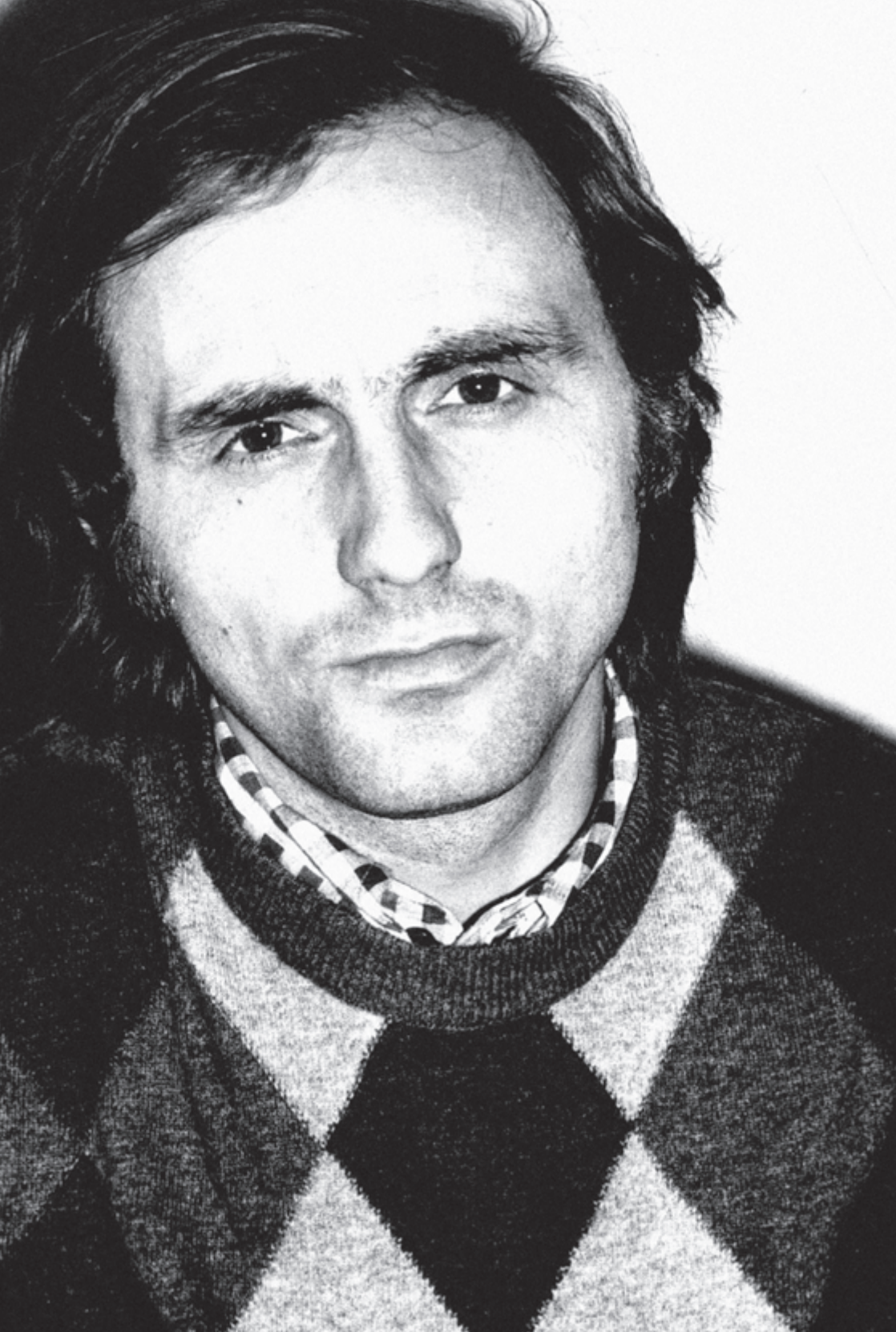
- ...odwrotnie.

- Odwrotnie się ułożyło w życiu, więc jakby nie ma recepty. Jak mnie student pyta: „Jak żyć, panie profesorze?”, to ja z całą świadomością głupoty tego pytania mówię: „Fajnie”. No bo co można powiedzieć na coś takiego? I on to kupuje. To na marginesie ograniczonej. Po prostu życie jest nierozwiązywalne.

...

„Jestem robakiem. Robakiem w jabłku. I nie wyjdę stąd” – odpowiadam mamie, która mówi, że kolacja i że mam już wyjść z tego swetra taty i coś zjeść. Jesteśmy na feriach zimowych w górach, sami z mamą. Tata w teatrze. Pracuje i dojeżdża do nas, kiedy może. Czyli nieczęsto. Sweter jest szorstki,





bordowy w zielone mazy. Z golfem. Mieszczę się w nim cała. I jest mi fajnie. Siedzę w nim godzinami i podglądam przez włóczkowe prześwity. Sweter pachnie jabłkami i wodą po goleniu taty. I jeszcze tęsknotą. Tęsknię na wcięż.

• • •

– Wynika z tej pierwszej rozmowy, że nie będzie to wcale przyjemne. Chociaż dla ciebie na pewno bardziej.

- Ale patrz, jak wspaniale spędzamy czas.

– Pomyśl też o rzeczach, o które ty chciałbyś mnie zapytać. Na pewno takie są. Zapisuj.

- Ja mam dobrą pamięć. I mnie bardziej ciekawi, jak odpowiadam.

– Aha.

- Myślę, że za wcześnie jest mówić o tym, o czym chciałbym mówić. Wiesz?

– Dobrze, ale ustalmy, proszę, jedno na sztywno: jak puszczasz bąka, to idziesz w ką, do geranium, dobra?

- [puszczając bąka] Ale ono usycha...

– Ciekawe, jak nieobliczalne to może być, żeby ktoś chciał to czytać.

- To musi być nasze, twoje, moje, jakby omijając rafy tego całego, przepraszam cię, gówna wokoło. Bo to jest gówno. Tak naprawdę wydaje mi się, że... Kiedy mówisz, że przyjeżdżasz tu po jakieś schronienie, tak teraz wspólnie próbujemy odpowiedzieć na pewne rzeczy, a raczej zbliżyć się do zrozumienia pewnych rzeczy, które się w naszym życiu wydarzyły, które nas, jako artystów, dotyczą. I raczej chodzi o próbę zrozumienia, czym to wszystko jest, a nie o odpowiedź.

– Ale też jak śpiewa Peszek: „Czasy takie niespokojne”. Ta nasza podróż może być rodzajem schronu, tunelu równoległego wobec nieciekawej rzeczywistości, w jakiej się znaleźliśmy.

- Może też być tarczą, która odbija gówna, którymi do nas strzelają.

– To mam na myśli! A jak mnie pytają „Jak żyć?”, to wiesz, co mówię? Że tata mnie uczył, że remedium na demony jest praca. I totalnie w to wierzę. A teraz wyruszamy w podróż. Lubię to określenie, jest otwarte. Podróż też może być remedium na demony, rozczarowania, zakręty. I na gówna, którymi do nas strzelają.

- Nie stawać, bo jak staniesz, to właśnie cię opanują demony. A jak idziesz, to je z siebie strącasz.

– I nie mogą się uchwycić.

- Ani utrzymać.

– I gówno, którym strzelają, też się nie przylepi.

- Prędszej cię trafią, jak stoisz.

– I tym optymistycznym akcentem kończymy.

• A ty to nagrywałaś teraz?

(Cieszę się, że nie umarłeś, tato!)